



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Jan Leliwa-Pruski

Zagubiona młodość

Głowno to niewielka miejscina położona 30 kilometrów na wschód od Łodzi. Małe, prowincjonalne miasteczko liczące około trzech tysięcy mieszkańców, nie robiło na przybyszu większego wrażenia, ale okolice bogate w sosnowe lasy przecięte wąską wstęgą rzeki Mroźnicy były dla łodzian „Mekką”, do której uciekali w miesiącach letnich.

Właśnie w Głownie dwie siostry mojego ojca miały swoje domy letniskowe, które były miejscem moich corocznych wakacji.

W wakacje 1939 roku byłem uczniem promowanym do czwartej klasy szkoły powszechnej. W połowie sierpnia tego roku w szpitalu „Św. Rodziny” w Łodzi doktor Bronikowski wykonał na mnie operacyjny zabieg usuwając zaropiałe migdały, które od lat były przyczyną ciągłych stanów zapalnych moich uszu i gardła. Następne wydarzenia w moim życiu potoczyły się bardzo szybko. Byłem wtedy zbyt młody, abym mógł wszystko co się wokół mnie działo w sposób usystematyzowany i racjonalny rozumieć.

Już jedenastego dnia po wspomnianej operacji ojciec postanowił odwiedzić mnie razem z mamą do Głowna, sam zaś powrócił do Łodzi, do swoich służbowych obowiązków. Był wówczas od ponad siedemnastu lat pracownikiem elektrowni łódzkiej. W ten sposób 26 sierpnia znalazłem się znowu pośród rodziny, znajomych i sąsiadów. Z uwagi na kończące się wakacje zauważało się wzmożony ruch letników, chociaż więcej ich przyjeżdżało niż wyjeżdżało.

Wojna zaczęła się dla mnie pierwszego września w południe, kiedy pierwsze bomby spadły na Łódź i okolice. Również Głowno, a szczególnie pobliska Osina stały się celem częstych ataków lotnictwa niemieckiego. Miałem wtedy zaledwie dziesięć lat, a kolejne pięć lat mojego dzieciństwa zabrała mi wojna. Moja rodzina, która w tym czasie znalazła się w dwóch domach letniskowych w Głownie, liczyła łącznie szesnaście osób. Ciągły ruch naszych wojsk, już nie tylko szosami, ale także polnymi drogami powodował, że coraz bardziej nękały nas wrogie myśliwce. Ostrzał z powietrza prowadzony był nawet kilka razy dziennie. W związku z tym postanowiono, że na dzień będziemy przenosić się do pobliskiego lasu, gdzie w pośpiesznie wykopanych dołach przeczekamy do zmroku. Jak postanowiono, tak też się stało. Pierwszy dzień minął bez niespodzianek, kiedy jednak po raz drugi wracaliśmy na noc do domów rodzina stwierdziła, że skradziono nam niemal wszystkie cenniejszych przedmioty. W tej sytuacji „męski sztab” naszej rodziny zakupił od miejscowego ogrodnika konia i wóz, na który zapakowaliśmy resztę dobytku, produkty żywnościowe i paszę, po czym wyruszyliśmy w kierunku Warszawy. Przed wyjazdem ustalono jeszcze, że ze względów bezpieczeństwa podróż będzie się odbywała tylko od

zmroku do świtu, a w miejscu, gdzie zastanie nas wschód słońca będziemy zatrzymywać się u gospodarzy we wioskach. Oczywiście poruszaliśmy się nie główną szosą, tylko polnymi drogami.

Zmęczenie spowodowane kilkoma nieprzespanymi nocami dawało się we znaki szczególnie osobom starszym. Ten marsz, choć minęło wiele lat, pozostawił w mojej pamięci niezatarty ślad. Kiedy pewnego ranka zbliżaliśmy się do skrzyżowania dróg polnych, usłyszeliśmy warkot silników. Po chwili ujrzałem nadjeżdżające trzy motocykle, a w każdym z nich po trzech żołnierzy w obcych mundurach. Zatrzymali się zniemacka obok naszego wozu i zapytali: „Wo ist Kolacin?” Kilka osób z naszej rodziny znało język niemiecki, ale na pytanie nikt nie odpowiedział. Niemcy pokiwali tylko głowami i odjechali. To było moje pierwsze spotkanie z okupantem. Dziś już nie pamiętam czy i jakie zrobiło to na mnie wrażenie, ale na pozostałych osobach chyba piorunujące. Na najbliższym postoju sztab męski zdecydował, że dalsza wędrówka w kierunku stolicy jest bezcelowa, gdyż wieści nosły, że Warszawa jest już oblężona. Postanowiono zatem zawrócić do Łodzi.

Z początkiem października na krótko znalazłem się z częścią moich kolegów w naszej polskiej szkole, w klasie czwartej. Czuję wówczas, że w moim życiu zajądą poważne zmiany. Nie stawił się w szkole nasz wychowawca i opiekun drużyny harcerskiej, pan podporucznik Lesiński, który w pierwszych dniach września poległ śmiercią bohaterską w obronie ojczyzny w słynnej bitwie nad Bzurą. Powiedziała nam o tym jego następczyni, pani Tomczak, która miała dalej prowadzić naszą klasę. Niestety trwało to bardzo krótko. W czasie, kiedy pani Tomczak powtarzała ułamki dziesiętne z klasy trzeciej otworzyły się drzwi i stanął w nich kierownik szkoły, a za nim dwóch hitlerowców w brązowych mundurach ze swastykami na rękawach. W klasie zapanowała cisza, a mnie przeszedł dreszcz grozy. Kierownik poważnym i drżącym głosem oznajmił: „Ci panowie są przedstawicielami delegatury Ministerstwa Oświaty III Rzeszy na miasto Łódź”. W ich imieniu zakomunikował nam, że z dniem jutrzejszym zostaną zamknięte wszystkie polskie szkoły i od jutra mamy tutaj nie przychodzić. Przyjęliśmy tę wiadomość jak dorośli ludzie – poczuliśmy głęboki żal, że w tym miejscu i w tym gronie możemy się już nigdy nie spotkać. Pani Tomczak zakończyła rozpoczęty temat i z bólem powiedziała, że właśnie od jutra miała z nami rozpocząć naukę historii. Nawet już przygotowała materiał dotyczący początków państwa polskiego...

Prywatna Męska Szkoła Gimnazjum i Liceum Aleksego Zimowskiego, którą musieliśmy opuścić, była nam wszystkim bardzo bliska, a szczególnie mojej rodzinie. Od pierwszej klasy aż po maturę uczyli się w niej moi trzej bracia – Zbigniew, Tadeusz i Henryk, a mój ojciec był w niej przez wiele lat przewodniczącym komitetu rodzicielskiego.

* * *

Rok 1940 był kontynuacją prześladowań Polaków i Żydów rozpoczętych z końcem 1939 roku, poprzez wysiedlenia, aresztowania, wywożenia, wreszcie rozstrzelania. Pierwszej wielkiej egzekucji na Polakach dokonali hitlerowcy w grudniu 1939 roku Rozstrzelali wówczas 100 Polaków. Coraz częściej słyszało się o wysiedleniach do Generalnej Guberni lub aresztowaniach znajomych czy kogoś z rodziny. Łódź została włączona do tzw. „Wartegau” jako część wielkiej Rzeszy Niemieckiej.

Mój ojciec, jako pracownik elektrowni łódzkiej, dopóki nie znalazł się na jego stanowisko Niemiec chroniony był przed wszelkimi prześladowaniami tak zwanym „glejtem” czyli żelaznym listem. Trwało to jednak tylko do maja 1940 roku. Z chwilą odebrania ojcu glejtu, niespodziewanie w ciągu dnia podczas naszej nieobecności w domu, Niemcy zaplombowali nasze mieszkanie. Pozostaliśmy na bruku bez żadnych środków materialnych. Nie mogliśmy nigdzie znaleźć schronienia, ponieważ rodzina już wcześniej została wysiedlona z Łodzi, albo uciekła do Głowna, które znalazło się w Generalnej Guberni.

Moich rodziców, brata Henryka i mnie przygarnęła w końcu w swoim mieszkaniu pani Maria Olechowska – żona naszego nauczyciela języka polskiego ze szkoły Zimowskiego. Jan Olechowski został powołany z rezerwy na wojnę w stopniu rotmistrza kawalerii i zginął w Katyniu w 1940 roku.

Pierwszy z najbliższej rodziny uciekł z Łodzi mój najstarszy brat Zbigniew. Było to jeszcze w marcu 1940 roku. Wylądował w Warszawie, gdzie po paru tygodniach ściągnął swoją żonę Violę. W ten sposób stworzony został przyczółek dla reszty moich bliskich krewnych.

Ojciec już w czerwcu uciekł przez „zieloną granicę” do Warszawy i dołączył do Zbyszka. W lipcu przyjechał do Łodzi stryj Stanisław z Tomaszowa Mazowieckiego, gdzie mieszkał zajmując się kupiectwem. Musiał mieć specjalne zezwolenie na wyjazdy do Łodzi, bowiem Tomaszów znajdował się w granicach GG. Po uzgodnieniu z matką stryj zabrał mnie do siebie. W czasie kontroli granicznej w pociągu powiedział, że jestem jego synem i że razem wracamy do domu.

Było to moje pierwsze rozstanie z matką i najbliższymi. U stryja bardzo przeżywałem rozłąkę. Tęskniłem płacząc po kątach. Krótko po przyjeździe zostałem zapisany do Szkoły Powszechnej nr 1, ale moja edukacja trwała tam zaledwie kilkanaście dni. W połowie września zachorowałem na szkarlatynę, która spowodowała dalsze komplikacje na długie miesiące. Zawiadomiony o moim stanie zdrowia

ojciec przyjechał z początkiem października do Tomaszowa i zabrał mnie do Warszawy, gdzie zamieszkaliśmy wspólnie w maleńkim pokoiku sublokatorskim przy ul. Śniadeckich 11.

W jedenastym roku życia zaczął się dla mnie nowy rozdział związany z pobylem w okupowanej stolicy. Po przybyciu do Warszawy leczyłem się u doktora Popowskiego – doskonałego pediatry z Kliniki Dziecięcej przy ul. Litewskiej, który po kilku tygodniach zdiagnozował gruźlicę kości w moich nogach. W takim stanie miałem bardzo ograniczone poruszanie się, a o wychodzeniu na dwór nie mogło być mowy. Nauka w szkole zdawała się nieosiągalnym marzeniem...

Ojciec przez cały czas troskliwie się mną opiekował. Bardzo doskwierała mi samotność. Długie jesienne wieczory spędzałem sam w maleńkim pokoiku, odwiedzany niekiedy przez brata Zbyszka i jego żonę Violę (mieszkali wówczas przy pl. Dąbrowskiego). Nadal tęskniłem za mamą przebywającą z bratem Henrykiem w Łodzi. Jej przyjazd do Warszawy nie był możliwy bez specjalnego zezwolenia władz okupacyjnych, a o takie nie mogła wystąpić, bo ojciec był poszukiwany przez Gestapo. Jedynym wyjściem była ucieczka do GG przez „zieloną granicę”.

Zły stan zdrowia, tęsknota za bliskimi i obawa o ich życie stale pogarszały moje samopoczucie. Trwaliśmy z ojcem w ciągłym oczekiwaniu. Pod koniec listopada zjawiał się wreszcie brat Henryk. Niedługo potem, w pierwszej dekadzie grudnia, po wielu ciężkich przeżyciach związanych z przejściem „zielonej granicy”, dołączyła do nas moja mama. Nareszcie byliśmy wszyscy razem w Warszawie. Ale jak żyć w cztery osoby w maleńkim pokoiku? Radość z połączenia rodziny przyćmiewały dodatkowo pesymistyczne wieści dochodzące z kraju i ze świata. Armia niemiecka odnosiła sukcesy militarne w Europie, a do wojny po stronie III Rzeszy przystąpiły Włochy.

Zbliżające się Święta Bożego Narodzenia nie napawały radością i optymizmem. Jaśniejszy promyk zaświecił dla nas dopiero po nawiązaniu przez matkę kontaktu z jej cioteczną siostrą Wandą Opęchowską. Ciotka po zapoznaniu się z naszą sytuacją natychmiast przystąpiła do działania. Zorganizowała dla nas dwupokojowe mieszkanie, naturalnie sublokatorskie, pracę dla mojego ojca oraz codzienne obiady dla całej rodziny w RGO (Rada Główna Opiekuńcza) przy ul. Oczki. Dzięki niej Święta Bożego Narodzenia spędziliśmy już w nowym mieszkaniu przy ul. Polnej 42. Jeden z pokoi zajmowała wysiedlona przez Niemców z Walewic pani hrabina Janina Walewska.

Święta choć w gronie całej najbliższej rodziny, były bardzo smutne, a przy tym skromne. Nowy Rok 1941 witaliśmy w poważnych nastrojach. Polacy nie bawili się na Sylwestra, a jedynie w rodzinnych lub przyjacielskich gronach składali sobie życzenia – przetrwania wojny i zdrowia. Wspominano tych, którzy nie przeżyli, albo nie powrócili z wojennej tułaczki, a los ich był nieznanym.

Ja z powodu mojej choroby nadal musiałem przebywać w domu, a zimę i wiosnę 1941 roku oglądałem z okna swego pokoju, które wychodziło na Pole Mokotowskie. Rodzice postanowili znaleźć dla mnie korepetytora, aby zapełnił moje edukacyjne luki. Dzięki staraniom doktora Popowskiego zostałem prawie zupełnie wyleczony i mój stan fizyczny z tygodnia na tydzień zaczął się poprawiać. Z dniem 1 września 1941 roku rozpocząłem naukę w piątej klasie Szkoły Podstawowej nr 98 mieszczącej się przy Al. Szucha 9. Jej dyrektorem był Stanisław Bugajski, który przed wrześniem 1939 roku piastował funkcję inspektora szkolnego na miasto stołeczne Warszawę. W szkole tej miałem pierwszy od roku kontakt z rówieśnikami. Zawałem szereg znajomości i przyjaźni, dzięki czemu stałem się normalnie funkcjonującym uczniem – jedenastolatkiem. Szkoła stała się dla mnie drugim domem, a to za sprawą wspaniałych pedagogów, których nie zapomnę do końca życia.

W ramach swojej dyskryminacyjnej polityki Niemcy nie pozwolili młodzieży polskiej kontynuować nauki w szkołach ponadpodstawowych ogólnokształcących, w związku z czym zamknięto wszystkie gimnazja i licea oraz wyższe uczelnie. Co najwyżej można było uczęszczać do szkół zawodowych i rzemieślniczych. Ale czy Polakom mogli cokolwiek zabronić nawet tak rygorystyczni okupanci, jakimi byli Niemcy? Nie do pomyślenia! Wielu profesorów z dawnych gimnazjów i liceów przeszła do szkolnictwa powszechnego, podnosząc tym samym poziom nauczania podstawowego, a w ostatnich klasach wprowadzili potajemnie takie przedmioty jak: historię, geografę, łacinę, literaturę i języki obce. Już od dłuższego czasu zorganizowane było tajne nauczanie na tak zwanych „tajnych kompletach”, zarówno na poziomie szkół średnich, jak i wyższych uczelni.

* * *

Pewnego popołudnia w marcu 1943 roku jakimś zbiegiem okoliczności razem z kolegą z klasy – Wiesiem, znaleźliśmy się na dworcu kolejowym Warszawa-Śródmieście. W pewnym momencie do hali głównej wpadli umundurowani Niemcy. Zaczęli wyganiać wszystkich do stojących przed dworcem „bud” (samochody ciężarowe). Po kilkudziesięciu minutach trafiliśmy na ul. Skaryszewską, gdzie dokonywano segregacji zatrzymanych kierując ich do obozów koncentracyjnych lub na przymusowe roboty do Niemiec. W tej wyjątkowej dla nas sytuacji Wiesiek spotkał swojego wujka, który pełnił służbę w „granatowej” Policji, będącej na usługach okupanta. Chyba tylko dzięki temu uniknęliśmy wywózki. Wuj po przeprowadzeniu szczegółowego rozpoznania nazajutrz, kilkanaście godzin po

zatrzymaniu, wyprowadził nas tylnym wyjściem z obozu na Skaryszewskiej i szczęśliwie wróciliśmy do domu.

* * *

Pamiętam, była to jedna z pierwszych pięknych, słonecznych i ciepłych sobót – 6 maja 1943 roku. Późnym popołudniem, po nabożeństwie majowym w kościele Zbawiciela, rozeszliśmy się w różne strony. Ja razem z Dzikim Kowalskim, kolegą z klasy, z którym mieszkaliśmy w jednym domu przy ul. Polnej 42, poszedłem na działki na Polu Mokotowskim. W oddali widzieliśmy nad miastem dymy dogasającego Getta. Idąc alejami wśród działek, gdzie dość licznie krzątali się już działkowicze, rozmawialiśmy o codziennych sprawach. W pewnym momencie usłyszeliśmy pojedyncze strzały. Nie przejęliśmy się tym jednak wiedząc, że na przeciwnym krańcu Pola Mokotowskiego przy ul. Rakowieckiej znajdują się niemieckie koszary i strzelnica, na której codziennie odbywają się ćwiczenia strzeleckie. Spokojnie szliśmy więc dalej. Nagle odwróciłem się w stronę „Lardellego” (słynna kawiarnia) i ujrzałem tyralierę kilkunastu żołnierzy niemieckich leżących w naszym kierunku i oddających strzały z pistoletów. Kule zaczęły nam świstać nad głowami. Natychmiast padliśmy w najbliższą bruzdę między grządkami. Trudno opisać jakie myśli tłoczyły się wówczas w mojej głowie. Wiem, że przed oczami przeleciało mi całe dotychczasowe życie. Co chwila padały pytania:

– Dzidek – żyjesz?

– Janek – żyjesz?

Nie sposób określić jak długo to trwało. Chwile w takich momentach wydają się wiekami. Po pewnym czasie, kiedy strzelanina przeniosła się w dalsze rejony, uniosłem się i w odległości około 15 metrów zobaczyłem Niemca w ubraniu cywilnym z pistoletem w ręku, stojącego nad leżącym na ziemi mężczyzną z dwojgiem przytulonych do siebie dzieci. Z gestów i głosów wywnioskowałem, że żąda okazania dokumentów. Leżący tłumaczył, że nie ma ich przy sobie, bo przyszedł w ubraniu roboczym, żeby popracować na działce. Niemiec niewiele myśląc podniósł z ziemi brukowca i wycelował prosto w głowę leżącego. Usłyszałem krzyk i straszny lament dzieci.

Po chwili dwóch innych Niemców podeszło do nas. Kazali wstać i podnieść ręce do góry, po czym zrewidowali nas i sprawdzili legitymacje szkolne. W tym momencie ponownie padły strzały. Niemcy kazali nam paść na ziemię, a jeden z nich robiąc sobie z moich pleców podpórkę zaczął strzelać z pistoletu maszynowego. Nie wiem jak długo to trwało, ale ze strachu dostałem nerwowych drgawek. Gdy po raz drugi kazano nam wstać, obok nas znajdowała się już spora grupa zatrzymanych osób z podniesionymi rękami. W sumie było nas kilkunastu. Z rękami w górze poprowadzeni zostaliśmy przez teren działek w kierunku ulicy Polnej, prosto na bramę naszego domu pod numer 42. Po drodze przy studni działkowej zobaczyłem wstrząsający widok – zapłakaną młodą kobietę i leżącego obok mężczyznę z zakrwawioną głową na jej kolanach. Zrobiło mi się słabo, ale musiałem iść dalej pod eskortą.

Wprowadzono nas przez bramę na podwórko naszego domu i ustawiono pod ścianą oficyny. Ja z Dzikim znalazłem się pierwszy przy drzwiach na klatkę schodową, która była również klatką kuchenną do mojego mieszkania. Czas mijał szybko, choć wydawało się, że to godziny. Stojąc pod ścianą widziałem na wprost na parterze okna mieszkania Dzikiego, a za firanką jego matkę i ojca.

Powtórnie sprawdzono wszystkim zatrzymanym dokumenty. W tym momencie na ulicy w pobliżu bramy nastąpił głośny wybuch – prawdopodobnie granatu. Wywołało to gwałtowną reakcję Niemców, którzy natychmiast wyskoczyli na ulicę. Tknięty intuicją pociągnąłem odruchowo Dzikiego za rękę i wpadliśmy do klatki schodowej. Biegiem na pierwsze piętro. Tam na szczęście były otwarte drzwi do kuchni. Pędzony jakąś niezmierną siłą wpadłem razem z kolegą do pokoju i obaj wskoczyliśmy do przygotowanych do spania łóżek. Po kilkunastu minutach przyjechała „buda”, do której załadowano dziesięć pozostałych osób. Ich los nie jest mi znany. Długo w nocy obserwowałem przez okno niemieckie samochody zatrzymujące się wzdłuż Al. Piłsudskiego, do których znoszono na noszach rannych i zabitych. Było ich kilkanaście osób.

Na drugi dzień dowiedzieliśmy się, że 6 maja 1943 roku wykonano wyrok na gestapowcu o nazwisku Schultz. W pogoni za zamachowcami Niemcy dotarli aż do Kolonii Staszica. Przeprowadzili dokładną rewizję w domach, a wszystkich, którzy nie byli tam zameldowani wyprowadzili na zewnątrz i rozstrzelali lub wywieźli samochodami. W tych okolicznościach wśród wielu innych zginął syn naszego dyrektora szkoły. To przeżycie zainspirowało mnie do wstąpienia do Szarych Szeregów, gdzie w listopadzie 1943 roku zostałem zaprzysiężony.

* * *

Często sam lub z kolegami przemierzałem okoliczne skwery, ulice, a przede wszystkim Pole Mokotowskie, na którym były ogródki działkowe. Ja również miałem swoją młodzieżową działkę. Jako

najmłodszy w domu musiałem często spełniać szereg czynności i pomagać w gospodarstwie domowym mojej schorowanej matce. Do moich obowiązków należało m.in. dokonywanie różnych zakupów, w tym artykułów żywnościowych na kartki. Marmoladę z buraków, chleb sitkowy, sacharynę, margarynę i inne produkty spożywcze kupowałem w maleńkim sklepie przy ul. Polnej 50. Tam właśnie zwróciła moja uwagę dość dziwna postać. Była to starsza pani w wieku około pięćdziesięciu lat, niska, krępa, o białych włosach uczesanych „na pazia”. Po jej wyjściu ze sklepu właściciel, pan Kwaśniak, zapytał mnie, czy wiem kim jest ta starsza pani. Odparłem, że nie wiem, bo niby skąd mam ją znać? Otóż – rzekł – jest to znana pisarka Maria Dąbrowska. Byłem wtedy żółtodziobem i nie wiedziałem o kim mowa. Pełniejszych wiadomości dostarczyła mi moja mama. Od tej pory Marię Dąbrowską widywałem bardzo często. Chodziła przeważnie sama, zwykle w okularach i zawsze z delikatnym uśmiechem na twarzy. Czasem widywałem pisarkę siedzącą na ławce wśród alejek działkowych na Polu Mokotowskim. Bardzo lubiła kwiaty, którymi obdarowywali ją działkowicze.

Pewnego dnia, w piękne czerwcowe popołudnie, kiedy grzebałem na swojej działce, Maria Dąbrowska przysiadła na ławeczce obok moich zagoników. Siedziała i przyglądała się przyrodzie, którą bardzo kochała i wspaniale opisywała w swoich książkach. W mojej dziecięcej wyobraźni darzyłem ją szacunkiem, bo już coś niecoś o niej wiedziałem po przeczytaniu paru szkiców literackich. Postanowiłem, że obdaruję ją najpiękniejszymi kwiatami, jakie mam na swojej działce. Szybko zebrałem obfity bukiet i wręczyłem jej, prosząc aby przyjęła od najmłodszego działkowca. Pisarka uśmiechnęła się, a dziękując spytała jak mam na imię. Potem dodała: „To bardzo ładnie Janku, że dałeś mi te kwiaty, ale popatrz jak mało zostało na twoich rabatkach”. Od tej pory Maria Dąbrowska była częstym gościem na mojej działce. Rozmawiając ze mną pytała gdzie mieszkam, co robią moi rodzice i jakie mam postępy w nauce. Nawet pochwaliłem się jej, że z polskiego dostałem piątkę z plusem za recytację wiersza Marii Konopnickiej pt. „We troje”.

Któregoś dnia „moja znajoma” potkawszy mnie na ulicy poprosiła, abym przyszedł do jej mieszkania na ul. Polnej 40. Oczywiście skorzystałem z takiej okazji i z dużym bukietem kwiatów z moich grządek zapukałem do drzwi. Pani Maria po pokazaniu mi swojego mieszkania poczęstowała mnie ciasteczkami, a następnie wręczyła piękny tom poezji Marii Konopnickiej, w brązowej, płóciennej oprawie. Powiedziała przy tym: „Pamiętaj Janku, ja też uczyłam się wierszy Konopnickiej, a w październiku 1910 roku byłam na jej pogrzebie na cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie”.

Jakież było moje zdziwienie, kiedy parę dni po zamachu na Schultza w maju 1943 roku podeszła do mnie Maria Dąbrowska na ul. Polnej i zapytała: „Czy to ciebie Janku prowadzili Niemcy z podniesionymi rękami przez Pole Mokotowskie w czasie akcji zamachu na Schultza?”. Kiedy odpowiedziałem twierdząco, przytuliła do siebie moją głowę ze słowami: „Jakie to szczęście, że żyjesz”. To był mój ostatni kontakt osobisty z pisarką. Wiem, że potem na jakiś okres wyjechała z Warszawy. W czasie Powstania Warszawskiego podobno złamała nogę i pewnie dlatego już jej nie spotkałem, mimo że mieszkaliśmy w sąsiednich domach.

* * *

Bolek Gepner był jednym ze zdolniejszych uczniów naszej klasy VII a, skromnym i bardzo lubianym przez kolegów. Mimo drobnej budowy ciała był bardzo sprawny i wygimnastykowany. Cechowały go – wrodzona inteligencja, duże poczucie humoru i nadzwyczajne zdolności lingwistyczne. Był jednym z najlepszych w klasie łacinników.

Razem z rodzicami, starszą siostrą i babcią mieszkał w Warszawie przy ulicy Służewskiej 5. W momencie wybuchu powstania ulica ta znalazła się pod panowaniem Niemców. Na początku walk zdarzało się, że Niemcy zezwalali ludności cywilnej na przechodzenie z terenów przez nich kontrolowanych na stronę powstańczą. W naszym rejonie zdarzyło się to dwukrotnie. Dorosłych mężczyzn hitlerowcy jednak zatrzymywali i osadzali na Szuca. Tak też stało się z ojcem Bolka, znanym adwokatem warszawskim. Zezwolenie na przejście ludności cywilnej często było ze strony okupantów przemysłaną zasadzką. Gdy ci wychodzili z białymi flagami, ostrzeliwano ich z broni maszynowej...

Bolek wraz z matką, siostrą i babcią usiłowali przejść na stronę polską. Babcia, osoba starsza i słaba, szła zbyt wolno i została przez Niemców postrzelona w nogi. Sanitariusze przenieśli ją na stronę polską do zaimprovizowanego szpitala w teatrze M. Malickiej na rogu ulic Mokotowskiej i Jaworzyńskiej. Tam też kilkanaście dni była leczona.

Z Bolkiem już od 1943 roku byliśmy w jednej szóstce „Orląt” w ramach Szarych Szeregów. Wybuch powstania uniemożliwił nam spotkanie się na kolejnej zbiórce w umówionym dniu i miejscu. Zaraz po przejściu Bolka wraz z rodziną na naszą stronę zgłosił się do mnie, a ja pomogłem im załatwić zakwaterowanie w opuszczonym przez Niemców mieszkaniu przy ul. Jaworzyńskiej. Od tej pory wiele czasu spędzaliśmy wspólnie, w ramach służby Powstańczej Poczty Harcerskiej. Mieliśmy ten sam rejon działania i często, wspólnie lub na zmianę, docieraliśmy do naszych adresatów. Na ulicy Wilczej, gdzie mieściła się centrala PPH rejonu Śródmieście – Południe, odbieraliśmy i przekazywaliśmy przesyłki

listowe. Tak spędziliśmy prawie cały pierwszy miesiąc powstania, w różnych warunkach i okolicznościach, docierając pod barykadami i poprzez piwnice, przejścia podziemne łączące całe zespoły domów i ulic – często pod ostrzałem niemieckich snajperów i „gołębiarzy” – do ustalonego celu.

„Gołębiarz” był to wyborowy strzelec niemiecki, który dzięki różnym podstępным działaniom (nierzadko przy pomocy szpiegów żyjących wśród polskiej społeczności) przedostawał się na polską stronę, a następnie usadawiał się w ukryciu, najczęściej na dachu za kominem lub w oknie opuszczonego mieszkania. Tam organizował sobie gniazdo strzeleckie. Posiadając karabin lub pistolet maszynowy z lunetą, upatrywał sobie pojedyncze osoby przebiegające ulicą bądź pod barykadą i uważnie celując, często je ranił lub zabijał na miejscu. Wykrycie takiego „gołębiarza” było niezwykle trudne, ale dzięki tzw. „donosicielom” (tzn. tym, którzy donosili amunicję i żywność) możliwe. Schwytany „gołębiarz” był w trybie natychmiastowym sądzony przez sąd wojenny i rozstrzeliwany.

Często w wolnych chwilach, chociaż tak naprawdę było ich niewiele, snuliśmy z Bolkiem rozmyślenia o naszej przyszłości. O tym, jak i gdzie kontynuować będziemy naukę w zakresie szkoły gimnazjalnej. Bolek pragnął pójść śladami ojca – na studia prawnicze, ja zaś marzyłem o medycynie...

Powstanie dobiegało półmetka. Tego dnia, 30 sierpnia, pełniliśmy wspólną służbę pocztową w rejonie Śródmieścia – Południa. Dokładnie o godzinie 17.00 (odnotowałem to w swoim kalendarzyku) przebiegaliśmy w pobliżu ulicy Poznańskiej. Kiedy znaleźliśmy się pod barykadą na rogu Lwowskiej i Koszykowej, padły pojedyncze strzały karabinowe. Ja biegłem pierwszy, za mną Bolek. Wpadając do bramy obejrzałem się i zauważyłem, że upadł. W pierwszej chwili sądziłem, że było to działanie umyślne, celem uniknięcia postrzału. Po chwili jednak, gdy nastąpiła cisza spostrzegłem, że Bolek leży nadal. Krzyżąc „sanitariusze” podbiegłem do niego i zobaczyłem krwawą dziurę w jego prawym ramieniu. Grymas na twarzy i drgania powiek świadczyły, że jeszcze żył. Ale kiedy kładliśmy go na nosze ujrzałem otwartą, szarpaną ranę na plecach. Zanim dobiegliśmy do najbliższego punktu sanitarnego – a trwało to dwanaście minut – nastąpił zgon. Był to więc jeszcze jeden celny strzał „gołębiarza” pociskiem „dum-dum”. Dla mnie była to strata najbliższego przyjaciela i kolegi, druha i współdziałającego członka Szarych Szeregów.

„Jasnotek”, taki bowiem pseudonim nosił Bolek, należał do ugrupowania „Zawiszaków” – „Orląt”. Ale jak wielką tragedią była ta śmierć dla matki i siostry, trudno sobie nawet wyobrazić, a tym bardziej opisać. Tego samego bowiem dnia pani Gepnerowa wraz z córką dowiedziały się jeszcze o dwóch nieszczęściach w ich rodzinie. Na Szucha został rozstrzelany ojciec Bolka, a babcia zmarła w szpitalu na Jaworzyńskiej.

Śmierć towarzyszyła nam niemal codziennie i w każdej minucie. Ludzie ginęli w różnych sytuacjach i okolicznościach, pojedynczo i zbiorowo. Ale utrata w jednym dniu, w trzech różnych miejscach i okolicznościach trzech najbliższych osób – matki, męża i syna, jest tragedią o szczególnej wymowie i sile.

Matka Bolka i siostra zostały same. Bez męskiego i materialnego wsparcia. Przeto wraz z kolegami i druhami zająłem się przygotowaniem pogrzebu. Msza żałobna odbyła się w urzędzonej w trakcie powstania kaplicy – w domu przy ul. Polnej 40. Zorganizowaliśmy nawet trumnę zbitą z desek, co w owym czasie było nie lada wyczynem. Sam pogrzeb odbył się dwa dni później – z udziałem księdza w eskorcie drużyny harcerskiej, z wszelkimi harcerskimi i wojskowymi honorami. Bolka złożyliśmy do grobu w ogrodzie obok domu przy ulicy Polnej 36. Z naszych szeregów odszedł w wieku trzynastu lat.

W miarę moich skromnych możliwości starałem się w kolejnych dniach powstania odwiedzać matkę i siostrę Bolka. Przynosiłem im wówczas zdobyty przypadkiem prowiant. Jednak po ogłoszeniu kapitulacji straciłem z nimi kontakt. Nie miałem najmniejszego pojęcia co działo się z nimi później. Jakież więc było moje zdziwienie i wzruszenie, kiedy w kwietniu 1946 roku, leżąc po operacji wyrostka robaczkowego w szpitalu św. Jana w Łodzi, otrzymałem paczkę od siostry zakonnej pełniącej rolę pielęgniarki. Znalazłem w niej pomarańcze, czekoladę i książkę Janusza Meissnera „Żądło Genowefy” z następującą dedykacją: „Kochanemu Jasiowi od S. Gepnerowej – 18 kwietnia 1946 roku”.

Później w kwatrze Szarych Szeregów na Powązkach odnalazłem mogiłę Bolka Gepnera pseudonim „Jasnotek”. Ja ze swej strony załatwiłem umieszczenie nazwiska Bolka na „Murze Pamięci” w kolumnie nr 171 w Muzeum Powstania Warszawskiego w Warszawie przed obchodami sześćdziesiątej rocznicy powstania.

* * *

Powstanie Warszawskie zakończyło się podpisaniem kapitulacji w dniu 2 października 1944 roku. Akt kapitulacji zapewniał powstańcom prawa kombatanckie. Ludność cywilna Warszawy w całości musiała opuścić stolicę i poprzez obóz przejściowy w Pruszkowie została rozesłana do różnych miejscowości na terenie okupowanej Polski, do obozów koncentracyjnych bądź na przymusowe roboty do III Rzeszy.

Po przejściu segregacji zostałem załadowany wraz z wieloma innymi do transportu kolejowego kierowanego do obozu koncentracyjnego (najprawdopodobniej do Auschwitz, ale tego dokładnie nie

wiem). Zagnano nas do wagonów towarowych i tak nas wieziono na południe kraju. W tym transporcie przetrwałem 54 godziny jadąc w różnych warunkach atmosferycznych przez Kielecczyznę i Małopolskę. Za Skawiną, w czasie krótkiego postoju pociągu, w godzinach nocnych udało mi się wraz z dwoma innymi osobami uciec w wagonu. Pieszko dobrnęliśmy do najbliższej miejscowości. Mnie przygarnął miejscowy aptekarz. Przebywałem w jego domu 48 godzin. Następnie wyruszyłem różnymi środkami lokomocji w kierunku Tomaszowa Mazowieckiego. Kiedy przybyłem do mojego stryjostwa zastałem tam już moich rodziców, którzy również byli wywiezieni do Pruszkowa. Następnie musiałem się natychmiast zameldować w miejscowej policji niemieckiej, gdzie zostałem skierowany do pracy przymusowej w niemieckiej fabryce włókienniczej w Tomaszowie Mazowieckim u Alfreda Kiersta. Pracowałem od szóstej rano do osiemnastej wieczorem na przędzalni, aż do wyzwolenia miasta przez wojska radzieckie 19 stycznia 1945 roku.

W pierwszych dniach lutego wraz z rodzicami powróciliśmy wojskowym samochodem radzieckim do Łodzi i znaleźliśmy się znów w naszym przedwojennym mieszkaniu przy ulicy Radwańskiej 17.